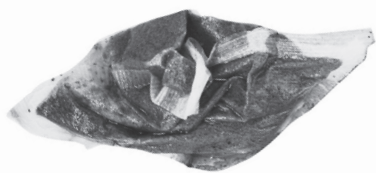


P U S T O S T A N



P U S T O S T A N
Agnieszka Nieręsta-Zatoń



Prószyński i S-ka

Copyright © Agnieszka Nietresta-Zatoń, 2015

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcia na okładce
© Mark Fearon/Arcangel; ssuaphoto/Depositphotos

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusojć
Sylwia Kozak-Śmiech

Łamanie
Alicja Rudnik

ISBN 978-83-8069-074-5

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
OPOLGRAF Spółka Akcyjna
45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12
www.opolgraf.com.pl

Kobietom

Pierwszej, która przetarła szlak – mojej Mamie

Drugiej, która nim podąży – mnie

Trzeciej, dla której wszystko powinno być

już łatwiejsze – mojej Córce

Czwartej i każdej następnej,

która kiedykolwiek stanie u piekielnych wrót

Niech ktoś napisze wreszcie, z czego zrobione są więzi między kobietami w kraju, gdzie tak często używa się słowa „babsko”.

Agnieszka Graff

W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie pomagały innym kobietom.

Madeleine Albright

1990

Dwa pomieszczenia; dwa, rzecz można, przystanki końcowe, na których i kawior, i kaszanka traciły swoje ego, zawsze wzbudzały w Janeczce nieukrywaną odrazę: kuchnia i łazienka. Wszystkie kloaczne dziury świata i dworcowe toalety; zaplecza mlecznych barów i kuchnie strażackich remiz podczas wesela, gdy wieś tańczy i śpiewa, nie były dla Janeczki bardziej obmierzłe niż kuchenny zlew i wanna w rodzinnym domu.

Zlew, wielki, głęboki, dwukomorowy, wyłożony kawałeczkiem plastikowej siatki, jakiej używa się na działkach do robienia drobnych ogrodzeń, wytyczania rabatki czy ochrony drzew przed gryzoniami, zawsze pełen był brudnych utensyliów i resztek pokarmowych. Góra tłustych garów, patelni, talerzy, kubków z niedopitą plujką i słoików po domowych przetworach pięła się niemal pod sufit. Obrazu dopełniały żółtawe bryłki zastygłego tłuszczu, mającego za życia imitować sos, obierki z jabłek i marchewki, wrzucane tu zamiast do kosza na śmieci, herbaciane fusy, bo ojciec preferował parzoną w czajniczku, i herbaciane szczury, bo matka wołała ekspresową, skorupy jajek, sezonowo:

łupiny bobu i ziaren słonecznika, pestki z owoców, szypułki truskawek, skórki z pomidorów, ogryzione kolby kukurydzy oraz – wisienka na torcie – rozmiękle, oślizłe ścierki.

Ojciec, myjąc naczynia, ograniczał się do opłukania ich i ustawienia zmyślnej konstrukcji na metalowym ociekaczu. Od mycia naczyń zawsze była matka, ale miarka się przebrała i matka zaczęła zostawiać wypchany do niemożliwości zlew na pastwę losu. Los pastwę przyjmował, ale jego apetyt był nienasycony.

Chcąc nie chcąc, ojciec od czasu do czasu, wprawnym ruchem gracza w bierki, musiał wydobyć z góry garów jakąś szklanekę czy talerzyk. Wydobywszy, podstawił pod strumień gorącej wody i tak trzymał do momentu uzyskania pożądanego stopnia czystości.

Czasem mu się nie udawało i góra rozsypywała się jak domek z kart. Część garów lądowała na kuchennym blacie, część na podłodze i ojciec zmuszony był do podjęcia natychmiastowej akcji oczyszczania kuchni, co odbywało się przy wtórze najobrzydliwszych obelg słanych w stronę matki, która dopuściła się tak karygodnego zaniedbania — i teraz on, pan i władca tego zasranego królestwa, musi po niej sprzątać. Potem zbyt wysokim rachunkiem za gaz czy wodę można było machać matce przed oczami i wrzeszczeć, że taką rozrzną babę to powinno się odpowiednio potraktować i że rację miał ojciec świętej pamięci, kiedy mówił, że jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije. Matce Janeczki zgnił najwyraźniej także mózg, bo kto to widział, żeby taki syf w kuchni zostawiać.

Matka Janeczki zostawiała w kuchni syf, będąc całkowicie zdrową na ciele i umyśle. Na próżno usiłowała namówić małżonka swego do współudziału w domowych obowiązkach. Małżonek pohańbić się nie dał. O współudział w zbrodni uczynienia z prawdziwego mężczyzny pantoflarza posądzonym być nie zamierował.

Rosła więc góra garów, matczyną Golgota.

Rosło obrzydzenie Janeczki do kuchennego zlewu.

Ojcu nie przeszkadzały pozostawione w zlewie konsumpcyjne szczątki i sztućce. Może jak matka Janeczki, góra sadła, nienażarta wiecznie tych swoich tłustych sosów, ziemniaków i słodczy, łapami zacznie żreć z braku wioseł, to się do roboty zabierze.

Janeczka naczynia myła sporadycznie, bo jeszcze potłucze i potem się takiego już nie kupi albo znów widelcom między zębami nie doszoruje, ale za to nieustannie natykała się na zlew pełen śmieci. Siateczka, na której miały osiadać, żeby można je było wyjąć niczym na tacce – jednym ruchem – miała za duże oczka i nawet jeśli się ją podniosło, wszystkie wczorajsze tłuczone kartofelki, pomidorowe sałatki i okruchy chleba opadały na dno zlewu, zbijając się w paskudną maź, którą można było wydobyć zeń tylko gołymi rękami, opróżniając przy okazji sitko. Najpierw jednak należało odsączyć z cuchnącego szlamu brunatne ściery, wykręcić je, a potem odcedzić osiadłą na dnie pulpę z saszetek ekspresowej herbaty ze sznureczkami, które oplątywały dłonie jak złośliwe gąsienice. Przez palce przelewały się ameby rozgotowanego makaronu,

zwiotczałe jarzyny z rosółu, piętki chleba o konsystencji galarety, wyplute przez ojca na brzeg talerza drobne chrząstki ze szpondra, na którym gotowało się rosół, i całkiem pokaźne białe błony, wytyczające granice kotletów schabowych. Na próżno prosiła, żeby siedząc przy stole, nie grzebał w ustach; żeby trefną zawartość jamy gębowej usuwał dyskretnie w chusteczkę, a potem do kosza. To tylko mięsko, córko, schabik najlepszy, co ty mięska się brzydzisz, możeś ty jakaś, ta, no, wege... wegenianka czy coś tam, co, córko?

Janeczka wyobrażała sobie, że zlew to ciemny odmęt sławojki, takiej, jaka stała za babciną stodołą. Kiedy guana zebrało się już za dużo, tuż przed przyjazdem wozu asenizacyjnego ciemny odmęt podchodził niemal pod krawędź siedziska i można było zobaczyć mnóstwo białych czerwi kłębiących się na powierzchni. Janeczka panicznie bała się, że kiedy usiądzie na desce klozetowej, zbyt luźno przymocowanej do zwykłej deski z wyciętą dziurą, dotknie gołą pupą tej brei i białe robactwo oblezie ją całą.

Teraz nad zlewem w kuchni bloku z wielkiej płyty natrętny obraz powracał niemal codziennie. Prosiła ojca, żeby sprzątał do końca, dokładnie, żeby ekspediował resztki do kubła na śmieci bez tej stacji przelądkowej. Nadaremno.

Matka milczała. Tuż po tym, jak odmówiła mycia garów, zaprzestała szorowania muszli klozetowej, umywalki i wanny.

Ojciec kąpał się raz na tydzień, ale golił codziennie. Na umywalce zostawał gęsty osad twardej szczeciny

i mydlanej piany. Szczecina przyklepiona była do lustra, włożyła we włosie szczoteczek do zębów, przywierała do kostek mydła. Na pokrywie pralki zostawiał rozkręconą na części pierwsze maszynkę do golenia z żyłką Polsilver i mokry ręcznik, zwinięty w kulkę.

Z wanną było jeszcze gorzej. Gęsty kożuch nieczystości osiadał na obwodzie niegdyś białej kąpielowej niecki i przywierał doń w takim uścisku, że pozbyć się go można było jedynie drucianym drapakiem, który dogorywał w kuchennym zlewie. Połączenie tych dwóch obrzydliwości dla chcącej zażyć codziennej kąpieli Janeczki stanowiło przedsięwzięcie piekła. Jeśli ktoś kiedyś skaże ją na wieczne potępienie, przyjmie ono postać kuchennego zmywaka na zapleczu dworcowej restauracji na największym dworcu świata (ciekawe, który to), szeregu toi toiów na meczu Euro dwa tysiące fafnaście, rzędu wanien w męskim akademiku, należącym do jakiejś Akademii Wychowania Fizycznego.

Janeczka nie wyobrażała sobie poranka ni wieczora bez koniecznych ablucji. Zanim jednak oczyściła teren, zanim wyłuskała z odpływu wanny kłęby ojcowskich włosów, okraszonych gęstą zasmażką szaroburych mydlin, zanim odłupała kożuch nieczystości przy użyciu zmaltretowanego drucianego drapaka inkrustowanego pokarmowymi resztkami – matka nie inwestowała w nowy, dopóki stary nie zaczął jej ranić palców, a o drapaku plastikowym słyszeć nie chciała, bo to nie to samo, córko, nie to samo – ochota na upojny wieczór w pieszczocie aromatycznej piany odchodziła bezpowrotnie. Brała więc szybki prysznic; ułożywszy

na dnie wanny czysty ręcznik, starała się nie dotykać jej gołymi stopami. Najgorsza grzybica przywleczona z hotelowej łazienki czy kempingowej umywalni nie budziła w Janeczce takiego obrzydzenia jak wizja ojca, który zdiera z siebie tygodniowy brud, a siedząc w wannie, czyści nos, wkładając go między złożone jak do modlitwy dłonie i wydmuchując wprost do wody. Janeczka zamykała oczy, wsłuchiwała się w kojący szum prysznicza i powstrzymywała najpierw zrywy, galopady wyobraźni, a potem żołądka. Wcierała w siebie hurtowe ilości mydła, trąc ciało aż do bólu. Potem, jak baletnica w puentach, stawiała na łazienkowym dywaniku, prędko osuszała ciało czystym ręcznikiem i umykała do swojego pokoju.

Dopiero tutaj przebierała się w piżamę i wsuwała stopy w ciepłe skarpety. Izolacja od domowego podłoża znacznie poprawiała jej nastrój.

I tak trwała ta kuchenno-toaletowa wojna podjazdowa aż do dnia, w którym Janeczka postanowiła uderzyć z zaskoczenia i wykonać najpierw manewr oskrzydający, a zaraz po nim – zrzut amunicji z powietrza.

Podczas niedzielnego obiadu stół zastawiony był frykasami, z których najznamienitszym miał być przywieziony przez wujka rosyjski kawior. Nikt ze zgromadzonych kawioru nie lubił, nikt nie umiał się nim delektować, nikt nie miał pojęcia, jak dziwaczne kuleczki oswoić. Ojciec pakował w siebie kolejne schaboszczaki,

starannie wyłuskiwał białe błonki, których matka nigdy nie odcinała, bo jej się nie chciało, i układał z nich skomplikowane wzory na brzegu talerza. Matka gmerała w swoim kotlecie. Wujek z ciotką jedli w nabożnym skupieniu, jakby to miał być ich ostatni schaboszczak w życiu. Janeczce kapusta, smaczna skądinąd, podeszła do gardła. Przełknęła jednak kulę o zapachu świeżego koperku i kminku, po czym skierowała dłoń ku miaseczce z kawiozem. Uszczknęła. Paskudne. Ęapardą. Nobilitujące towarzysko rybnie jajca.

A ojciec sztukuje te wzorki.

– Tato, przestań, tyle razy cię prosiłam...

– No so ty, sórko... – Z ustami pełnymi mięcha akurat pracował nad obróbką jakiejś chrząstki. – So ty, mięska się brzydzisz?

Janeczka nabrała pełną łyżkę kawioru i ostentacyjnie wpakowała do ust. Pomemłała trochę i przełknęła. Potem podniosła się, stanęła na rozstawionych nogach, wpakowała sobie do ust dwa palce i puściła soczystego pawia wprost do miski z kapustą. Otarła usta rękawem i wbiła w zaskoczonego ojca kategoryczne spojrzenie.

– Sorry, to przecież tylko kawior. No so ty, tatuś, kawioru się brzydzisz? W dupach się już ludziom po-przewracało.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, usłyszała jeszcze, jak ciotka Petronela idzie w ślady bratanicy.

1975

Między Bogiem a prawdą, Janeczka miała być Janeczkiem, ale coś poszło nie tak na wstępnym etapie produkcji. Wołał więc ojciec za dzieckiem „Jasiu”, ten jeden jedyny raz w życiu czyniąc wzgląd na ojczystą gramatykę i oddając hołd wołaczowi. Niestety, na wołanie wołaczem, sprytnie maskującym płeć dziecka, zawsze zjawiała się mikra dziewczuszka, konsekwentnie rozwiewając nadzieje ojca, że może to jednak optyczne złudzenie i Jasiuuu okaże się chłopcem.

Daremne żale, próżny trud.

Janeczka dorastała w przekonaniu, że ma jakiś feler, który tatusiowi uniemożliwia pokochanie jej ot tak, i że wszystko, co między mamusią a tatusiem się nie składa, składają rodzice na karb owej spartolonej roboty. Gdyby urodziła się chłopcem, grałaby z tatusiem w piłkę, jeździła na rowerze. Chodziliby razem na męskie górskie wyprawy. Na ryby, na grzyby, na piwo, na dupy. A tak – dupa zbita: z babami tatuś bawić się nie umiał. Tak jak nie umiał się kiedyś zabawić z mamusią na tyle skutecznie, żeby Janeczka była Janeczkiem.

Już znoszenie humorów ślubnej było dla tatusia dopustem bożym, bo wyrósł w przekonaniu, że baba swoje miejsce ma, swoje miejsce zna i jak męża złapie, to osiada jak statek na mieliźnie na tych swoich garach i deskach do prasowania, a człowiek może wrócić do normalnego życia z pełnym brzuchem i w czystych gaciach.

Tymczasem mateczka Janeczki domagała się uwagi zupełnie jak Janeczka. Na początku tatuś godził się na te wszystkie fanaberie, bo mateczka ładna była, bardzo ładna, po prawdzie piękna jak marzenie, i wszystkie chłopaki tatusiowi zazdrościły. Potem mateczka zaciążyła i ładna być przestała. Wylewała się z samej siebie i z sukienek, w które tatuś zainwestował na etapie podchodów i tańców godowych. Wylewała z każdym tygodniem coraz bardziej. Chłopaki mówiły, że wygląda ślicznie: taka okrągłutka, cycki jak balony, włosy błyszczące. Podobno syn matce urody dodaje, a córka urodę zabiera. Ciesz się, stary, syna będziesz miał jak nic.

Na początku ciąży ciągle spała. To znaczy wracała z pracy, robiąc po drodze zakupy, gotowała obiad, sprzątała i kładła się spać. Właśnie wtedy, kiedy oprany, nakarmiony i odpoczęty tatuś chętnie wygospodarowałby chwilę na jakiś szybki numerek. Kilka razy próbował nieprzytomną żonę ustawić do pionu, ale że użytek był z niej marny, w końcu tatuś odpuścił. Uznał to wykrecanie się od małżeńskiego obowiązku za złośliwość wymierzoną weń personalnie, za foch babski, przed którym ostrzegał go ojciec, którego ostrzegał jego ojciec, którego... amen.

Jakby upokorzeń i dąsów było mało, zaczęła małżonka zachcianki jakieś miewać. A to słodkie, a to słone. Dżemik, a zaraz potem korniszonek. Lody czekoladowe i truskawki. Zimą. Czasy były marne, lodów nie bywało w sklepie wcale, owszem: latem włoskie, kręcone w budzie za rogiem. Truskawki jak sobie kto na działce wyhodował, ale nie w grudniu przecież. Ogórków latoś nie nakisiła, dżemików nie zawekowała.

I jeszcze mdłości nieustanne. Rzygania poranne, potem wieczorne, wreszcie całodobowe. W obecności małżonka, który nawet katar cudzy fatalnie znosił, a co dopiero pawie puszczone wprost z małżeńskiego łóża do stojącej obok miednicy. Cięża nie choroba, mawiał ojciec ojca, który usłyszał to od swojego ojca, który... amen. Niech mi tu baba nie wydziwia, tylko do roboty dupę ruszy, to jej wszystko przejdzie.

Końcówkę ciąży przeżyła mateczka Janeczki chyba tylko siłą woli, modląc się do Boga swego jedynego, żeby ją t o dopadło raczej w pracy, do której też siłą woli chadzała, bo ją przynajmniej w karetkę wsadzą i do szpitala odeślą, a jak w domu rodzić zacznie i jeszcze jej wody, nie daj Boże jedyny, odejdą na parkiet nowy, co go małżonek niedawno położył, to trzeba będzie i na taryfę wydać, i komentarzy wysłuchać.

Tym razem Bóg jedyny mateczki Janeczki okazał się litościwy. Powaliło ją w robocie. Pogotowie przyjechało szybko, do szpitala dowiozło i tu litościwość Boga uległa wyczerpaniu.

– Czego się drze? – zapytał pan doktor przyjmujący matkę do szpitala. – Ludzi wystraszy!

– Boooli... – zajęczała w odpowiedzi mateczka Janeczki.

– No, boli, boli. Musi boleć... – poinstruował mateczkę pan doktor. – Jakby nóg nie rozkładała, toby teraz nie bolało.

– Aleee... – Mateczka Janeczki próbowała coś ugrać, bodaj szybsze rozpatrzenie sprawy, wypełnienie papierów od ręki czy choćby uśmiech doktora.

– Nie ma ale.

Doktor na wycie bab z brzuchami uodporniony był z racji zawodu wyuczonego i wykonywanego. Nie będą mu tu mówiły, co ma robić. Na rodzeniu dzieci zna się jak nikt inny, ordynatorem jest oddziału tego położniczo-ginekologicznego od lat wielu i sam mógłby śmiało dzieci rodzić, gdyby tylko Bóg najwyższy taką wolę wyraził i Matka Natura. Ale nie wyrazili, więc niech mu tu nie jęczy, tylko czeka spokojnie, nie ona pierwsza, nie ostatnia.

Po kilkunastu godzinach wbijania zębów w tynk i własne dłonie; po wysłuchaniu mantr położnych, jak to pies nie bierze, gdy suka nie daje; jak to histeryczka się trafiła, co może by jeszcze żeby wcale nie bolało chciała; po wygoleniu wzgórka łonowego tępą brzytwą w niedelikatnej dłoni; po otrzymaniu siarczystego policzka, że może by już nie darła mordy, tylko parła jak wszystkie, jak zawsze, powiła mateczka Janeczka i odcchnęła z ulgą, że nie sprowadziła na ten najpiękniejszy

ze światów kolejnego chłopca, który dowie się od swojego ojca tego, czego on dowiedział się od swojego ojca, który... amen.

Przybyły w kolejnej dobie tatuś Janeczki, dowiedziawszy się od położnej, że oto został właścicielem potomka płci niewieściej, zaklął siarczyście, spod okna szpitalnego małżonce ręką pomachał i udał się wieść tę tragiczną czym prędzej topić w spirytualiach. Prysły marzenia o piłce kopanej, jodłach na gór szczycie i wędkowaniu.

Błogosławiony między, kurwa, niewiastami będzie odtąd.

2010

Przyjaźń w pączku z tendencją do rozkwitu.

Tak Janeczka myśli o swojej relacji z nową znajomą. Magda mieszka sama i mimo że ma samochód, lubi jeździć po mieście tramwajami.

W celu prowadzenia, jak to ujmuje, badań terenowych.

Magda chadza własnymi ścieżkami. Zawsze wygląda jak spod igły. Nie stać mnie na taniochę, odpowiada na bezgłośnie pytania Janeczki, za mało zarabiam. Wiesz, ja tak po polsku: zastaw się, a postaw się.

Cóż ci za różnica, czy ta torebka za stówkę, czy za złotówkę, myśli Janeczka. Promocje, rabaty, gratisy, wyprzedaże, second-handy. Cena przestaje mieć znaczenie. Może metka czasem jeszcze coś znaczy, ale cena?

Janeczka od dawna wymienia się ubraniami z koleżankami. Bywa, że to, co któraś wyniosła zeszłego lata z Janeczkowej szafy, wraca na kolejną giełdę i Janeczka odbiera własny ciuch z leasingu. Po roku nieobecności w garderobie nagle znów zaczyna pasować do Janeczki albo do czegoś, co właśnie wypatrzyła w stercie ubrań

przytachanych przez dziewczyny. Kiedyś Janeczka lubiła odpoczywać, snując się po galeriach handlowych i szukając cenowych okazji. Potem przerzuciła się na portale aukcyjne i koleżeński szafing. Magdę też próbowała zaprosić, ale ta odmówiła. Janeczka z kolei nie chce dać się namówić na kupno jakiegoś ekstraciucha. Tyle pieniędzy na siebie wydać? Nie lepiej to rachunki na zapas popłacić, żeby potem, pod koniec roku, długów nie mieć?

Magda kiwa z politowaniem głową: dla kogoś żyjesz czy dla siebie? Sobie przyjemności sprawić nie możesz? Sobą zaopiekować się? Siebie ugłaskać? Jakie nie wypada, jakie nie wypada? Wypadają to włosy albo zęby. Nie wypada ci dbać o siebie? Kto ci takich głupot naopowiadał, Janeczko? Jaki grzech, dziewczyno, zastanów się. Kto się tobą zajmie, jeżeli nie ty? Na co liczysz – na milionera, któremu za każdą skarpetkę i haftkę od stanika w naturze będziesz musiała płacić?

Janeczka słucha jak zaczarowana. Wśród grzechów głównych na matczynej liście egoizm zawsze zgarniał *grand prix*: po co ci to? A dlaczego znów myślisz tylko o sobie? Chcesz, chcesz... – co to za argument? Gdyby każdy robił to, co chce... Córko, bój się Boga, nie jesteś pępkiem świata!

Nie jesteś połową człowieka i nie czekasz na swoją drugą połowę, peroruje Magda, sącząc mojito, jesteś całością. Nie dasz drugiemu człowiekowi czegoś, czego nie masz. Nie masz siebie. Odzyskaj siebie.

Gdzie jesteś, Janeczko, gdzie jesteś?

Janeczka milczy, wpatrując się w tafłę wody niegazowanej, w której kostki lodu, wprawione w ruch kolorową słomką, zderzają się ze sobą jak po uderzeniu Titanica.

Gdzie jestem...? Zapytaj moją mamę.